

Słodko-gorzka samorządność

Dobiegł końca XVI Nadzwyczajny Krajowy Zjazd Lekarzy, chciałoby się powiedzieć, że na dwa dni Łódź stała się stolicą lekarskiej samorządności. Tylko czy na pewno tak było? Refleksje pozjazdowe mam niestety słodko-gorzkie i daleko mi do zachwyków. Bo czy można być zachwyconym z tego, że wykonaliśmy pracę, na którą się umówiliśmy dwa lata temu, zwołując ten zjazd? Taki po prostu był nasz obowiązek i zobowiązanie w stosunku do osób, które nas wybrały i powierzyły poszczególne role w samorządzie. Wstydem i marnotrawstwem składkowych pieniędzy byłoby gdybyśmy tego nie zrobili. A niewiele brakowało. I to już smutna konstatacja.

Żeby zachować możliwie najdalej idący obiektywizm, mimo subiektywnej formy przekazu, jaką jest felieton i uwzględniając moją dwojaką rolę, zacznę od tego, że dostrzegam różne niedociągnięcia organizatorskie i przygotowawcze po stronie NIL, jak i komisji odpowiedzialnych za przygotowanie projektów, jak chociażby niedopilnowanie kwestii stylistycznych i redaktorskich w przedłożonych uchwałach. Do tego trudności techniczne ze sprzętem nagłaśniającym czy do głosowania. Mimo wszystko, nawet po uwzględnieniu tego i wielu innych czynników, w moim mniemaniu takie niedociągnięcia pozostają niewspółmierne do tego, co przeżyliśmy na zjeździe i co zaprezentowali niektórzy z delegatów. Kilukrotnie w trakcie obrad, jak i w kuluarach słyszałem o szalonym pomysle niektórych, żeby – kolokwialnie mówiąc – zjazd zerwać poprzez brak quorum, czyli wyjście z sali. I nawet jeżeli wydaje się to szalone, to nadal dopiero początek. Z przykrością obserwowałem, jak liczna grupa – wśród niej ludzie powszechnie szanowani i znani, z tytułami naukowymi i/lub istotną rolą w samorządzie – zachowuje się, jakby pomyliła salę obrad zjazdu lekarskiego ze stadionem i meczem Legia-Widzew. Gwizdy, okrzyki, pohukiwania, zakłócanie wypowiedzi to tylko mały wycinek z dokonań elity społeczeństwa, jak wielokrotnie lubimy o sobie myśleć. Do tego mamy zgłoszenie niemalże łącznie setki poprawek do komisji uchwał i wniosków odnośnie do procedowanych projektów. Oczywiście każdy miał do tego prawo, którego nikomu nie odbieram.

"Nie zliczę, ile razy w ich wykonaniu padło sformułowanie, żebyśmy z KEL-u nie robili kodeksu karnego i że przez mały procent czarnych owiec w środowisku nie można podchodzić do jego zapisów tak rygorystycznie. Tylko ten mały odesetek niszczy nasz status i odbiór w społeczeństwie. To przez nich wstydzimy się później dwa razy. Raz za to, że gdzieś w Polsce jakiś lekarza zrobił coś, czego w powszechnym pojmowaniu nawet nie można próbować bronić, dwa - kiedy lekarskie plony odpowiedzialności sprawę umarzają..."

Tyle że każdy te projekty dostał wiele tygodni temu do zapoznania, a w dodatku pracę nad nimi trwały blisko dwa lata i nieraz były one w konsultacjach społecznych. A krajowa komisja wyborcza zorganizowała nawet spotkanie otwarte, na które przyjść mógł każdy i zgłosić swoje uwagi. Czemu więc miało to służyć? Czy faktycznie merytorycznej pracy, czy jednak pewnej formie obstrukcji? Z resztą to też padło wprost w kuluarach od jednego z delegatów z izb, które wiodły w tym prym.

To jednak jeszcze byłbym w stanie zrozumieć, wszak gry, gierki, sympatie, antypatie, układy, układziki i wszystkie takie sytuacje nie objawiają się po raz pierwszy, a ja nie urodziłem się wczoraj. Co jednak Państwo powiecie na stwierdzenie doświadczonych samorządowców, którzy przy wesołej dyskusji wspomaganej papieroskiem, patrząc na kącik dla dzieci i rodziny delegatów z małymi pociechami, z sobie tylko właściwym męskim poglądem na świat pytają „czy to też już są delegaci i będą przeciw nam głosować”? Oj, ile to wywołało wśród nich uradowania. Idźmy dalej. Mieliśmy też próbę wywołania powszechnego oburzenia na sali informacją, że oto znaleziono pod krzesłem jednego z delegatów mikrourządzenie, które według niego i jego wiedzy i sprawdzonych przezeń naprędce informacji jest urządzeniem szpiegowskim, a okazało się tylko zwykłym dyktafonem zgubionym przez innego delegata. Takie nie do końca sprawdzone te informacje jednak, ale co spróbowaliśmy wywołać ferment, że ktoś (w domyśle NIL) nas podsłuchuje, to nasze.

Wraz z biegiem zjazdu, w dużej mierze te same osoby zabierały głos w dyskusji nad nowym kodeksem etyki i bardzo dużo czasu poświęcały temu, że po co pisać, że lekarz ma **obowiązek** zachowywać się z szacunkiem i w sposób kulturalny, bo przecież dla nich to oczywiste... Z resztą dyskusja nad KEL to też ciekawe studium przypadku. Tu faktycznie było widać, jak na dłoni pewną rozbieżność pokoleniową. Do tego stopnia, że niemal wszyscy zabierający głos przedstawiciele młodego pokolenia jasno dawali wyraz poparciu proponowanych zapisów i tam, gdzie chciano wpisać słowo ‘obowiązek’, tam powinno ono pozostać. Doświadczeni Koledzy i Koleżanki jednak mieli inny pogląd i chcieli praktycznie wszystkie takie zapisy zamienić na ‘powinien’. Nie zliczę, ile razy w ich wykonaniu padło sformułowanie, żebyśmy z KEL-u nie robili kodeksu karnego i że przez mały procent czarnych owiec w środowisku nie można podchodzić do jego zapisów tak rygorystycznie. Tylko ten mały odsetek niszczy nasz status i odbiór w społeczeństwie. To przez nich wstydzimy się później dwa razy. Raz za to, że gdzieś w Polsce jakiś lekarz zrobił coś, czego w powszechnym pojmowaniu nawet nie można próbować bronić, dwa – kiedy z braku narzędzi lekarskie pionierskiej odpowiedzialności mając po części związane ręce albo sprawę umarzają, albo dają wyroki, które w nielekarskiej części społeczeństwa budzą tylko śmiech i politowanie. Mam nadzieję, że ci, którzy najmocniej o takie właśnie ‘wygładzenie’ zapisów walczyli, będą mieli choć na tyle autorefleksji, że zapytani po raz setny czego oczekują od samorządu, nie wypowiedzą swojej wyświechtanej formułki –

„poprawy wizerunku lekarza w oczach ludzi”.

Ważną częścią zjazdu był też projekt nowej ordynacji wyborczej. Ubolewam, że znaczna część dyskusji była emocjonalna, a mniej merytoryczna, a jeszcze bardziej nad hipokryzją, która jej przyświecała. Otóż okazało się, że solą w oku jest propozycja zniesienia parytetów do okręgowych rad w przypadku delegatur. Najwięcej w dyskusji udzielały się osoby, które reprezentowały właśnie różne delegatury w dużych izbach. Było o tym, jak to chce się centralizować władzę, wycinać przedstawicielstwo lekarzy z mniejszych miejscowości i powiatów, a oni przecież są tam aktywni od ponad trzydziestu lat i tak wiele robią dla lokalnej lekarskiej społeczności. Na pytanie jednego delegata, który stwierdził, że skoro jesteście państwo tak aktywni, znani ze swojego społecznego zaangażowania od tylu lat i stoją za wami tak doniosłe dokonania, to czego obawiacie się w wyborach – niestety odpowiedź nie padła. A szkoda bo chętnie poznałbym podłoże tych obaw. Bo przecież musi za tym stać coś więcej, jakaś wyższa idea, sprawa warta, żeby o nią walczyć, prawda? Na pewno nie to, że od tylu lat, grupka tych samych nazwisk jest wybierana naprzemiennie w hermetycznym środowisku i automatycznie wie, że dostanie się do okręgowej rady, a i może dalej. Ciekawe jest też to, jak osoby, które ten konkretny problem podniosły do takiej rangi, same nie zauważyły, że zostają ofiarami utrzymania status quo. Otóż naprawdę rzadkim zjawiskiem jest, gdy każda z delegatur prezentuje ten sam poziom zaangażowania i ma liczną grupę aktywnych działaczy. Raczej jest to mocno zróżnicowane. Są delegatury X, gdzie aktywnych działaczy jest więcej niż miejsc i faktycznie tętnią życiem i są delegatury Y, gdzie nawet na palcach jednej ręki nie znajdzie się osób chcących poświęcić swój czas. Dzięki heroicznemu bojowi części z delegatów i pozostawieniu starych zapisów, zamiast mieć potencjalnie większą reprezentację osób z przywołanej delegatury X, czyli prężnych, aktywnych, działających dla środowiska w sposób realny, będą oni musieli swoje miejsca w radzie oddać martwym duszom z delegatury Y. A i tak każdy, kto choć trochę orientuje się w samorządowym życiu wie, że to była tylko przykrywka do tego, aby wprowadzić na sztywno parytety do naczelnej rady.

I tu chyba dotykamy sedna problemu. Można się różnić, można się nie zgadzać, mieć różne poglądy, jednak umieć rozmawiać, dyskutować i pracować wspólnie w imię idei samorządności. Obawiam się jednak, że wielu z nas już dawno tę idee zatraciło. Nie ma dobra wyższego, jest tylko dobro moje, tu i teraz i dobrze jest wtedy, kiedy to ja mam coś do powiedzenia, coś zależy ode mnie, ja trzymam ster. Gdy sytuacja się odwraca, nie potrafimy się z tym pogodzić. Dla mnie jako nadal młodego człowieka w samorządzie to przerażające. Siedząc na zjeździe, obserwując tę wojenkę dla samej wojenki, byłem zniesmaczony. To, co opisuję, było najgorszą wizytówką samorządności. I to nie tylko moje odczucia, ale także wielu osób, z którymi rozmawiałem, głównie jednak młodych. Byłem tam, choć moje dziecko w domu walczyło z poważną infekcją i wisiąłem z żoną

na telefonie, ktoś inny miał następnego dnia komunię swojego dziecka, ktoś kolejny trudną zdrowotną sytuację bliskich, wszyscy jednak byliśmy tam z poczucia obowiązku i dlatego, że zależy nam na czymś więcej niż my sami.

Dobrze, że chociaż w chwili obchodów 35-lecia odrodzonego samorządu potrafiliśmy wszyscy być razem i cieszyć się chwilą i wzruszać patrząc, jaką drogę przeszliśmy jako instytucja. Może to niektórym przypomni, dlaczego do tego samorządu w ogóle weszli i się zaangażowali i na nowo rozpali te już mocno przygaśniętą świeczkę społecznika. Tego nam wszystkim życzę.

Na koniec chciałbym podziękować delegatom z mojej Izby za znakomitą współpracę, sumienne i godne pełnienie roli współgospodarza tego wydarzenia. Może dlatego, że u nas jest tak zwyczajnie, normalnie, wszystkie powyższe sytuacje tak bardzo kłuły mnie w oczy.

Mateusz Kowalczyk

Panaceum 6/2024